Franz Kafka

SPRAWOZDANIE DLA AKADEMII

www.woblink.com

Franz Kafka

SPRAWOZDANIE DLA AKADEMII

www.woblink.com

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SPRAWOZDANIE DLA AKADEMII

Franz Kafka

Dostojni Akademicy!

Czynicie mi zaszczyt, panowie, wzywając mnie, abym dostarczył Akademii sprawozdania z mojej małpiej przeszłości.

Nie umiem niestety zadośćuczynić temu wezwaniu tak, jak zostało ono sformułowane. Blisko pięć lat dzieli mnie od mego życia małpy, czas być może krótki w kalendarzu, ale nieskończenie długi, gdy się go spędza na bieganiu tu i tam, jak ja to robiłem czasami, wśród znakomitych ludzi, dobrych rad, oklasków, muzyki orkiestr; lecz w gruncie rzeczy sam, gdyż całe towarzystwo, aby mieć pełny obraz, trzymało się z daleka od bariery. Nie podołałbym temu, gdybym uparcie trzymał się mego pochodzenia i wspomnień młodości. Pierwszym nakazem, jaki sobie postawiłem, było właśnie zaniechanie wszelkiego uporu; ja, wolna małpa, poddałem się temu jarzmu. Wskutek tego moje wspomnienia zacierały się coraz bardziej. Na początku mogłem jeszcze powrócić, gdyby ludzie tego zechcieli, przez wielką bramę, którą niebo tworzy nad ziemią, lecz równocześnie z moimi przyśpieszanymi batem postępami brama ta stawała się coraz niższa i węższa, w świecie ludzi czułem się coraz lepiej i coraz bardziej byłem z nim zespolony; burza, dmąca z mojej przeszłości, uspokajała się; dziś jest to już tylko przeciąg, który chłodzi mi pięty, i otwór w oddali, którym powietrze wieje i przez który ja sam niegdyś przybyłem, stał

się tak mały, że gdyby w ogóle starczyło mi sił i woli, by tam z powrotem pobiec, zdarłbym sobie skórę z ciała, chcąc się przezeń dostać. Mówiąc szczerze - choć chętnie używam obrazów dla wyrażenia tych rzeczy - mówiąc szczerze: wasza małpia egzystencja, panowie, jeżeli macie coś takiego w swej przeszłości, nie może być bardziej odległa od was - niż moja jest ode mnie. Lecz łechce ona w pięty każdego, kto tu chodzi po ziemi: zarówno małego szympansa, jak wielkiego Achilla.

W najbardziej zacieśnionym sensie mogę jednak, być może, odpowiedzieć na wasze zapytanie, i czynię to nawet z wielką radością. Pierwszą rzeczą, której się nauczyłem, było podanie ręki; podanie ręki oznacza szczerość; niechże więc dziś, gdy znajduję się na szczycie kariery, temu pierwszemu podaniu ręki towarzyszy także szczere słowo. Nie przyniesie ono Akademii niczego istotnie nowego i pozostanie bardzo daleko od tego, czego się ode mnie żąda i czego mimo najlepszej woli nie umiem powiedzieć; jednakże wskaże ono drogę, którą dawna małpa przedostała się do świata ludzi, i sposób, w jaki się w nim utwierdziła. Ale z pewnością nie śmiałbym powiedzieć nawet tego, co nastąpi, gdybym nie był zupełnie pewny siebie i gdyby moja pozycja na wszystkich scenach kabaretowych cywilizowanego świata nie umocniła się do tego stopnia, że nic nie potrafi nią zachwiać.

Pochodzę ze Złotego Wybrzeża. Co do sposobu, w jaki mnie tam schwytano, muszę polegać na obcych informacjach. Ekspedycja łowiecka firmy Hagenbeck - z jej kierownikiem opróżniłem zresztą od tego czasu niejedną butelkę dobrego czerwonego wina - leżała na stanowisku w nadbrzeżnych zaroślach, gdy pewnego wieczora szedłem do wodopoju w środku stada. Dano ognia; ja jeden tylko zosta doem trafiony, otrzymałem dwie kule.

Jedną w policzek, rana była lekka, zostwiła mi jednak dużą czerwoną bliznę bez sierści, która zjednała mi przydomek Czerwony Piotruś - przydomek odpychający, zupełnie niewłaściwy i wynaleziony przez prawdziwą małpę - tak jakbym tylko przez tę czerwoną plamę na policzku odróżniał się od małpiego zwierzaka Piotrusia, który zdechł ostatnio i tu i ówdzie był znany. To nawiasem.

Druga kula trafiła mnie poniżej biodra. To była ciężka rana i ona temu winna, że jeszcze dzisiaj trochę kuleję. Czytałem ostatnio w artykule jednego z dziesięciu tysięcy psów gończych, które wypuszczono na mnie w dziennikach, że moja natura małpy nie została jeszcze zupełnie stłumiona i że dowodem tego jest fakt, że gdy przyjmuję wizyty, ze szczególnym upodobaniem ściągam spodnie, aby pokazać ów ślad od kuli. Temu drabowi powinno się odstrzelić jeden po drugim palce ręki, którą to napisał. Co do mnie, mogę zdejmować spodnie przed każdym, przed kim mi się podoba; każdy znajdzie tam tylko wypielęgnowaną sierść i bliznę - wybierzmy tu do określonego celu określone słowo, które jednak nie powinno być źle zrozumiane - bliznę po zbrodniczym strzale. Wszystko leży jak na dłoni, nie ma niczego do ukrywania; gdy chodzi o prawdę, każdy wielki myśliciel odrzuca najwykwintniejsze maniery. Gdyby natomiast ów skryba zdjął spodnie w czasie wizyty, wszystko by oczywiście wyglądało inaczej, i to, że tego nie robi, chcę uznać za oznakę rozsądku. Ale wobec tego niechże mi i on da spokój ze swoim taktem.

Po owych strzałach obudziłem się - i tutaj rozpoczynają się stopniowo moje własne wspomnienia - w klatce na międzypokładzie parowca Hagenbecka. Nie była to klatka o czterech ścianach z krat; były tam raczej tylko trzy ściany, przymocowane do jakiejś skrzyni; skrzynia tworzyła więc czwartą ścianę.

Całość była zbyt niska, aby stać, a zbyt wąska, aby usiąść. Tkwiłem więc przykucnięty ze zgiętymi i wiecznie drżącymi kolanami i w dodatku zwrócony twarzą do skrzyni - gdyż początkowo prawdopodobnie nie chciałem nikogo widzieć i pragnąłem pozostawać w ciemności - a z tyłu pręty klatki wpijały mi się w ciało. Uważa się, że tego rodzaju postępowanie z dzikimi zwierzętami jest w początkowym okresie korzystne, i dzisiaj, po moim doświadczeniu, nie mogę zaprzeczyć, że z ludzkiego punktu widzenia jest tak rzeczywiście.

Lecz wtedy nie myślałem o tym. Po raz pierwszy w życiu znajdowałem się w położeniu bez wyjścia; przynajmniej nie było go wprost przede mną; wprost przede mną była skrzynia, deska z deską solidnie zbite. Między deskami przebiegała co prawda szczelina, którą zaraz po jej odkryciu powitałem głupim radosnym wyciem, lecz nie wystarczała ona nawet na przesunięcie ogona, i przy użyciu całej małpiej siły nie dała się rozszerzyć.

Jak mi później mówiono, robiłem podobno niezwykle mało hałasu, z czego wnoszono, że albo wkrótce zdechnę, albo, jeśli uda mi się przeżyć okres krytyczny, stanę się bardzo zdatny do tresury.

Przeżyłem ten okres. Głuchy szloch, bolesne szukanie pcheł, żmudne lizanie orzecha kokosowego, opukiwanie ściany klatki, pokazywanie języka, gdy ktoś się zbliżał - takie były pierwsze zajęcia w moim nowym życiu. Ale w tym wszystkim jedno tylko uczucie: nie ma wyjścia. Nie umiem oczywiście dzisiaj odtworzyć ludzkimi słowami tego, co czułem wtedy jako małpa, i dlatego to zniekształcam, ale jakkolwiek nie potrafię już odnaleźć dawnej małpiej prawdy, leży ona przynajmniej w kierunku, w jakim zmierza mój opis, co do tego nie ma żadnej wątpliwości.

Miałem dotychczas tyle wyjść, a teraz ani jednego. Byłem złapany. Gdyby mnie przykuto, moja swoboda już by się przez to nie zmniejszyła. I dlaczego? Obgryź sobie aż do krwi pazury, a nie znajdziesz powodu. Wciśnij się plecami w kratę, aż cię przetnie prawie na dwoje, nie znajdziesz powodu. Nie miałem wyjścia, ale musiałem je, sobie stworzyć, gdyż nie mogłem bez niego żyć.

Pozostając ciągle przy tej ścianie skrzyni - na pewno bym zdechł. Ale u Hageribecka trzyma się przy ścianie małpy - a więc dobrze, przestanę być małpą. Jasne, piękne rozumowanie, które musiało wylęgnąć się jakoś w mym brzuchu, gdyż małpy myślą brzuchem.

Boję się, że niedokładnie rozumie się, co ja pojmuję przez wyjście. Używam tego słowa w jego najzwyklejszym i najpełniejszym sensie. Naumyślnie nie mówię: wolność. Nie myślę o tym wielkim poczuciu wszechstronnej wolności. Jako małpa znałem je może i poznałem ludzi, którzy za nim tęsknili.

Ale co do mnie, to ani nie domagałem się wtedy, ani dziś jeszcze nie domagam się wolności. Mówiąc nawiasem: tą wolnością ludzie zbyt często się oszukują. A jak wolność zalicza się do najbardziej wzniosłych uczuć, tak i odpowiadające jej złudzenie należy do najwznioślejszych. Często przed moim występem widziałem w variétés dwoje artystów popisujących się na trapezach, wysoko pod pułapem.

Kołysali się, huśtali, skakali, rzucali się sobie nawzajem w ramiona, jeden unosił drugiego, chwytając go zębami za włosy. "To także jest wolność ludzka - myślałem - ten własnowolny ruch". O, szyderstwo świętej natury! Żaden gmach nie utrzymałby się pod naporem małpiego śmiechu na ten widok.

Nie, wolności nie chciałem. Tylko wyjścia: na prawo, na lewo, dokądkolwiek; nie miałem żadnych innych wymagań, niechby nawet to wyjście było złudzeniem; wymaganie było małe, nie większe byłoby złudzenie. Naprzód, naprzód! Przede wszystkim nie tkwić w miejscu, z podniesionymi ramionami, przyciśnięty do ścian skrzyni.

Dzisiaj widzę jasno: bez największego wewnętrznego spokoju nie uszedłbym nigdy cało. I rzeczywiście, wszystko, co się ze mną stało, zawdzięczam być może spokojowi, który po pierwszych dniach ogarnął mnie tam, na statku. A spokój ten zawdzięczam z kolei jego załodze.

To są dobrzy ludzie, pomimo wszystko. Jeszcze dziś przypominam sobie chętnie odgłos ich ciężkich kroków, który wtedy odbijał się echem w moim półśnie. Mieli zwyczaj zabierać się do wszystkiego niesłychanie powoli. Gdy któryś chciał sobie przetrzeć oczy, podnosił rękę niby jakiś wielki ciężar. Ich żarty były grube, ale serdeczne. Ich śmiech mieszał się zawsze z kaszlem, który brzmiał niebezpiecznie, ale nie był groźny. Wciąż mieli w ustach coś do wyplucia, a było im obojętne, gdzie to wypluwali. Żalili się zawsze, że skaczą na nich moje pchły, lecz nigdy nie mieli mi tego poważnie za złe, wiedzieli przecież, że pchłom wiedzie się dobrze w mojej sierści i że pchły muszą skakać; i godzili się z tym.

Gdy byli wolni od służby, kilku z nich siadało nieraz w półkole dokoła mnie, prawie że nie rozmawiali, wymieniali tylko między sobą jakieś gardlane odgłosy; palili fajki, rozciągnięci na skrzyniach; uderzali się po kolanach za najmniejszym moim ruchem, a od czasu do czasu jeden z nich chwytał kij i łaskotał mnie tam, gdzie mi to sprawiało przyjemność. Gdyby mnie dziś zaproszono do odbycia podróży tym statkiem, na pewno odrzuciłbym zaproszenie,

lecz niemniej pewne jest, że mam nie tylko złe wspomnienia z pobytu na międzypokładzie.

Spokój, który zdobyłem między tymi ludźmi, powstrzymywał mnie przede wszystkim od wszelkiej próby ucieczki. Z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się, jak gdybym przynajmniej przeczuwał, że muszę znaleźć jakieś wyjście, jeżeli chcę żyć, lecz że wyjścia tego nie można było osiągnąć przez ucieczkę. Nie wiem już teraz, czy ucieczka była możliwa, ale sądzę, że tak; dla małpy ucieczka powinna być zawsze możliwa. Z moimi dzisiejszymi zębami muszę już być ostrożny przy zgniataniu zwykłego orzecha; lecz wtedy z biegiem czasu musiałoby mi się chyba udać przegryźć zamek u drzwi. Nie zrobiłem tego. Cóż bym przez to zyskał? Zaledwie wysunąłbym głowę, schwytano by mnie z powrotem i zamknięto w jeszcze gorszej klatce; albo nie spostrzegłszy się uciekłbym do innych zwierząt, na przykład do wężów boa z naprzeciwka, i zginąłbym w ich uściskach, albo udałoby mi się przekraść aż na pokład i wyskoczyć przez burtę, a wtedy kołysałbym się przez chwilę na powierzchni oceanu, a potem bym utonął. Akty rozpaczy. Nie rozumowałem tak po ludzku, lecz pod wpływem mego otoczenia zachowywałem się tak, jak gdybym rozumował.

Nie rozumowałem, ale obserwowałem z całkowitym spokojem. Widziałem, jak ci ludzie chodzą tam i z powrotem, zawsze z takimi samymi twarzami, takimi samymi ruchami, i często zdawało mi się, jak gdyby to był tylko jeden człowiek. Człowiek ten czy też ci ludzie poruszali się więc swobodnie. I zaczął mi świtać wielki cel. Nikt mi nie przyrzekł, że gdy stanę się taki jak oni, klatka się otworzy. Nie daje się przyrzeczeń, których spełnienie jest pozornie niemożliwe. Lecz gdy spełniło się życzenia, zjawiają się potem owe przyrzeczenia, i to w tym właśnie punkcie, gdzie przedtem szukaliśmy ich na próżno.

Tak więc ludzie ci nie mieli w samych sobie niczego takiego, co by mnie pociągało. Gdybym był zwolennikiem wspomnianej przedtem wolności, byłbym na pewno wolał ocean od wyjścia, które ukazywało mi się w posępnym spojrzeniu tych ludzi. W każdym razie obserwowałem ich jeszcze długo przedtem, zanim myślałem o tych rzeczach, i właśnie dopiero owe nagromadzone obserwacje popchnęły mnie w określonym kierunku.

Tak łatwo było naśladować ludzi! Pluć umiałem już od pierwszych dni. Pluliśmy sobie tedy wzajemnie w twarz; cała różnica polegała na tym, że ja się potem obcierałem, a oni nie. Fajkę paliłem też wkrótce jak stary; a jeżeli przyciskałem jeszcze kciukiem główkę fajki, cały pokład krzyczał z radości; tylko różnicy między pustą a nabitą fajką długo nie rozumiałem.

Najwięcej kłopotu sprawiała mi flaszka wódki. Zapach jej dręczył mnie; zadawałem sobie ogromny gwałt, lecz upłynęły tygodnie, zanim mogłem się opanować. Rzecz ciekawa, ludzie brali te wewnętrzne walki poważniej niż wszystko inne we mnie poza tym. Nie odróżniam ludzi, nawet we wspomnieniu, lecz był między nimi jeden, który powracał zawsze, sam lub z towarzyszami, za dnia i w nocy, w najrozmaitszych godzinach, stawał z flaszką naprzeciwko mnie i dawał mi lekcję. Nie rozumiał mnie, chciał rozwiązać zagadkę mojego istnienia. Odkorkowywał powoli flaszkę i spoglądał potem na mnie, aby sprawdzić, czy zrozumiałem; przyznaję, że patrzyłem na niego zawsze z dziką, skwapliwą uwagą; żaden ludzki nauczyciel nie znajdzie nigdy podobnego ucznia - człowieka na całym globie; gdy flaszka była odkorkowana, podnosił ją do ust; ja śledziłem go wzrokiem aż po samo gardło; kiwa mi głową zadowolony ze mnie i przykłada butelkę do warg; ja zachwycony, że rozumiem wreszcie szczegół po szczególe, piszcząc drapię się wszerz i wzdłuż, gdzie popadnie; on się cieszy,

przystawia się do flaszki i pociąga łyk; ja, w rozpaczliwej niecierpliwości naśladowania go, zanieczyszczam swą klatkę, co znowu sprawia mu wielką satysfakcję; i teraz, odsuwając flaszkę daleko od siebie, a potem z rozmachem znów ją unosząc w górę, wypija ją duszkiem i przechyla się do tyłu w sposób przesadnie pouczający. Ja, wyczerpany nadmiarem pragnienia, nie mogę już nadążyć za nim i tkwię zawieszony słabo w mej klatce, podczas gdy on kończy lekcję teoretyczną, głaszcząc się po brzuchu i szczerząc zęby.

Teraz dopiero zaczyna się ćwiczenie praktyczne. Czy nie jestem już zbyt wyczerpany teorią? Tak, bez wątpienia, zanadto wyczerpany. Należy to do mojego losu. A jednak tak dobrze, jak umiem, chwytam flaszkę, którą mi podaje; odkorkowuję ją z drżeniem, powodzenie dodaje mi stopniowo nowych sił; podnoszę flaszkę, nie różnię się już prawie wcale od mego modelu; przykładam ją i - i odrzucam ze wstrętem, ze wstrętem, jakkolwiek jest teraz pusta i tylko zapach ją wypełnia, odrzucam ją ze wstrętem na ziemię. Ku żalowi mego nauczyciela, ku większemu jeszcze mojemu własnemu żalowi; i ani jego, ani siebie nie mogę przejednać tym, że po odrzuceniu butelki z zadowoleniem głaszczę sobie brzuch i stroję grymasy.

Aż zbyt często lekcja toczyła się w taki sposób. I muszę powiedzieć ku czci mego mistrza: nie miał do mnie urazy; co prawda przykładał czasem swą zapaloną fajkę do mej sierści w miejscu trudnym dla mnie do sięgnięcia, aż futro zaczynało się tlić, lecz natychmiast gasił je sam swoją olbrzymią dobrą ręką; nie miał do mnie urazy, uznawał, że walczymy obaj po tej samej stronie, przeciwko małpiej naturze, i że ja miałem w tym cięższy udział.

Ale potem, cóż za zwycięstwo, i dla niego, i dla mnie, kiedy pewnego wieczora, przed wielkim kołem widzów - było to

może jakieś święto, grał gramofon, oficer przechadzał się między ludźmi - kiedy tego wieczora, właśnie gdy nikt nie zwracał na mnie uwagi, chwyciłem flaszkę wódki zostawioną przez nieuwagę przed moją klatką, otworzyłem ją według wszelkich prawideł, przy wzrastającej uwadze towarzystwa, podniosłem do ust i bez wahania, bez skrzywienia, jak zawodowy pijak, tocząc dookoła oczyma i bulgocząc gardłem, opróżniłem ją rzeczywiście do dna, potem odrzuciłem flaszkę, już nie z rozpaczą, lecz jak artysta; zapomniałem co prawda pogłaskać się po brzuchu, lecz w zamian za to, ponieważ nie mogłem inaczej, ponieważ coś mnie zmuszało, ponieważ zmysły moje były pijane, krótko mówiąc wykrzyknąłem ludzkim głosem: - Halo! - i tym okrzykiem dostałem się jednym skokiem w społeczność ludzi, a echo, którym mi odpowiedziano: - Słuchajcie tylko, on mówi! - odczułem jak pocałunek na mym ciele mokrym od potu.

Powtarzam: nie uwiodła mnie myśl naśladowania ludzi; naśladowałem, bo szukałem jakiegoś wyjścia, a nie z żadnego innego powodu. Zwycięstwem tym nie zdziałałem zresztą wiele. Zaraz straciłem znowu głos i odnalazłem go dopiero po miesiącach; mój wstręt do flaszki z wódką powrócił nawet z jeszcze większą siłą. Ale kierunek został mi podany raz na zawsze.

Gdy w Hamburgu przekazano mnie pierwszemu treserowi, wkrótce zdałem sobie sprawę z dwu możliwości, które się przede mną otwierają: ogród zoologiczny albo kabaret. Nie zawahałem się.

Powiedziałem sobie: spróbuj ze wszystkich sił dostać się do kabaretu, to jest wyjście, ogród zoologiczny to tylko nowa klatka z prętami: jeżeli tam się dostaniesz, jesteś zgubiony.

I uczyłem się, moi panowie! Ach, jak się uczymy, gdy trzeba, jak się uczymy, gdy pragnie się jakiegoś wyjścia! Uczymy się bez względu na wszystko. Nadzorujemy się sami batem, rozdzieramy sobie ciało przy najmniejszym oporze. Moja małpia natura uchodziła ze mnie, koziołkując, uciekała na łeb, na szyję, tak że mój pierwszy nauczyciel sam prawie od tego zmałpiał i musiał wkrótce porzucić lekcje, żeby się leczyć w domu obłąkanych. Na szczęście, wkrótce stamtąd wyszedł.

Ale wykorzystałem wielu nauczycieli, a nawet wielu równocześnie. Gdy moje zdolności już się utwierdziły, gdy publiczność zaczęła śledzić moje postępy i przyszłość moja zaczęła się wyjaśniać, przyjmowałem sam nauczycieli, umieszczałem ich w amfiladzie w pięciu odrębnych pokojach i brałem lekcje z wszystkimi jednocześnie, skacząc bez przerwy z jednego pokoju do drugiego.

Ach, te postępy! To przenikanie promieni wiedzy ze wszystkich stron do budzącego się mózgu! Nie zaprzeczam: to mnie uszczęśliwiało. Lecz przyznaję także: nie przeceniałem tego, już wtedy nie, a o wiele mniej obecnie. Wysiłkiem, który dotychczas już się na ziemi nie powtórzył, zdobyłem przeciętną kulturę Europejczyka. Nie byłoby to może niczym samo w sobie, a jednak było czym. N o tyle, że pomogło mi opuścić klatkę i zapewniło to szczególne wyjście, to wyjście na stopę ludzką. Istnieje takie znakomite wyrażenie: "dać drapaka". Otóż to właśnie zrobiłem, dałem drapaka. Nie miałem żadnej innej drogi, wciąż zakładając, że nie chciałem wybierać wolności.

Gdy patrzę teraz na mój rozwój i na dotychczasowy jego cel, to ani się nie skarżę, ani się nie cieszę.

Z rękami w kieszeniach spodni, z butelką wina na stole na półleżę, na pół siedzę na bujającym się krześle i patrzę

przez okno. Gdy zdarza się wizyta, przyjmuję ją jak należy. Mój impresario siedzi w przedpokoju: gdy dzwonię, przychodzi i słucha, co mu mam do powiedzenia. Wieczorem prawie zawsze jest przedstawienie, i naprawdę powodzenie mam coraz większe. Gdy późno w nocy powracam z bankietów, z naukowych towarzystw albo z miłych towarzyskich spotkań, oczekuje mnie mała, na pół wytresowana szympansiczka, i oddaję się razem z nią przyjemnościom naszej krwi. Za dnia nie chcę jej widzieć, ma bowiem w spojrzeniu obłęd zahukanego, tresowanego zwierzęcia; tylko ja sam go dostrzegam i nie mogę go znieść.

W każdym razie na ogół osiągnąłem to, co chciałem osiągnąć. I niech mi nikt nie mówi, że nie było to warte trudu. Zresztą, nie pragnę żadnego ludzkiego sądu, chcę tylko rozszerzać wiedzę, zadowalam się sprawozdaniem; nawet z Wami, dostojni Panowie z Akademii, ograniczyłem się tylko do zdania sprawy.